



Mirosław Derecki (M.D.)

## EKRAN I WIDZ: KOCHAJMY WIELORYBY?

Przez nasze ekrany sący się strumyczek lichej, zachodniej, sensacyjnej „komercji” filmowej. Ale że na bezrybiu i rak ryba – publiczność i tak idzie do kina na film amerykański, jaki by on był, skoro ma jako alternatywę sensacyjny dramat rumuński...

Pewnie - nawet w ojczyźnie kina Hollywood kręci się coraz więcej marnych, obliczonych na byle jakiego, młodocianego, niewyrobionego widza, filmów, w których krew się leje hektolitrami, bohaterowie mają niezniszczalne siły fizyczne, a kapitanowie międzygwiazdnych statków kosmicznych dają sobie radę w każdej sytuacji. Ale nie jest też prawdą, że w wymienionych gatunkach filmowych nie można już zupełnie znaleźć nic godniejszego uwagi, reprezentującego wyższy poziom, niż to usiłują udowodnić polscy spece od filmowego importu.

Kto wpadł na przykład na pomysł, aby koniecznie uraczyć nas filmem amerykańskiego reżysera Leonarda Nimoy’a „Powrót na Ziemię”, którego głównymi bohaterami są... wieloryby, przewożone specjalnie do tego przystosowanym statkiem kosmicznym w czasie z wieku dwudziestego w wiek dwudziesty trzeci?!

Film, nawiązujący do znanego w Stanach Zjednoczonych i lubianego przez amerykańską młodzież serialu telewizyjnego „Star Trek”, mógł liczyć jeszcze ostatecznie na tamtejszą młodzieżową widownię, która przyzwyczajona została do niesamowitych perypetii swych ulubieńców (niczym polska młodzież do tasiemcowych przygód Bolka i Lolka) i przymyka oczy na różnorakie niedobory scenariuszowe i artystyczne. Ale u nas?

Trochę podobna sytuacja wydarzyła się kilka lat temu, kiedy to z wielkim hukiem i nadstawianiem kieszeni na rzekę złotych sprowadzono do Polski film „Superman III”, zapominając, że nasza widownia nigdy nie oglądała pierwszych i drugich filmowych przygód Supermana, że nie wzrastała w poprzedzającej wszystkie trzy filmy, wieloletniej komiksowej „tradycji” tej niezwyklej, obdarzonej nadludzkimi przymiotami postaci? Więc przeszła wobec owej „kasowej bomby” zupełnie obojętnie. Tak samo w przypadku „Powrotu na Ziemię” - jakoś nie dało się zauważyć przed kasami polskich kin tłumów rozgorączkowanych nastolatków, toczących walki o bilet wstępu.

Film Nimoy'a nie trafia na naszym gruncie ani w zapotrzebowanie młodzieżowego, ani dorosłego widza. Odwołując się do szlachetnej skądinąd idei walki o ochronę środowiska naturalnego (problem coraz okrutniejszych polowań na wieloryby w ostatnich lasach, mogących doprowadzić do całkowitego wyginięcia tego gatunku), ukazuje owo zagadnienie w sposób płaski i naiwny, a dla dorosłej widowni wręcz śmieszny.

Oto okazuje się, że gdybyśmy w naszym dwudziestym wieku nie wymordowali, co do jednego wszystkich wielorybów, to w trzy wieki później nie „upomniałyby się” o nie jakaś nieznana, pozaziemska cywilizacja, sprowadzając na naszą planetę cały wachlarz różnorodnych kataklizmów. Aby zapewnić Ziemi spokojny byt, należy zatem znów zasiedlić morza i oceany dawno nieistniejącymi wielorybami. Wyrusza więc w głąb czasu specjalna „wielorybnicza” ekspedycja w dawno miniony wiek dwudziesty.

W tej całej kosmicznej bzdurze sens miałby może jedynie wątek ukazujący (w sposób chwilami autentycznie zabawny) zderzenie dwóch ziemskich kultur. Tej z wieku dwudziestego i tej z wieku dwudziestego trzeciego. Niestety, film został nakręcony w sposób zbyt prymitywny, banalny, pośpieszny, aby można było tu powiedzieć o jakimkolwiek poziomie artystycznym. Może filmy takie jak „Powrót na Ziemię” jakoś „ujdą w tłoku” przy szerokim wachlarzu różnych innych ciekawszych ekranowych propozycji. Ale u nas, przy posusze repertuarowej, idzie się na każdy film znaczącej światowej kinematografii z nadzieją. A później ogląda się go i stara się „smakować” szczególnie dokładnie. Jednak coraz częściej doznajemy uczucia katastrofalnego zawodu.

Smutek widza może być tym większy, że - jak dowodzi Czesław Dondziło w jednym z lipcowych numerów „Filmu”, w artykule „Kontrewolucja w USA” po obejrzeniu kilkudziesięciu najnowszych filmów amerykańskich – „mądre kino nie umarło do końca, nawet najbardziej popularne gatunki filmowe nie muszą być głupie z definicji. Dokonuje się dziś w świecie nie tyle rewolucje, ile kontrewolucja w obronie spauperyzowanych do cna wartości gatunkowych, poddanych dyktatowi komercji”. I tutaj autor wymienia i omawia szereg tytułów filmów kryminalnych, sensacyjnych itp., mogących zadowolić, jego zdaniem, najbardziej wybredne gusta wyrobionych widzów, równocześnie zaś potrafiących przyciągnąć uwagę tak zwanej szerokiej, młodzieżowej widowni, do której wszak odwołuje się dzisiaj przede wszystkim współczesne kino. Między innymi: „Fatal Beauty” Toma Hollanda, „Gliniarz z Beverly Hills II” Tony Scotta, „Zimny jak śmierć” Arthura Penna, „Podejrzany” Petera Yatesa czy też „Szaleństwo”, najnowszy film Romana Polańskiego ze świetną rolą (zupełnie innego niż dotychczas) Harrisona Forda.

Ciekawe, kiedy i które z tych filmów zobaczymy na naszych ekranach, zamiast powodzi filmowej miernoty?!

Póki co jesteśmy skazani, niestety, na filmy w rodzaju „Powrotu na Ziemię”. Czy też - prezentowanego właśnie krwawego „dreszczowca” Richarda Pearce’a, zatytułowanego „Bez litości”. Filmu, którego jedyną jasną stroną jest uroda i wdzięk występującej w głównej roli kobiecej, Kim Basinger. To właśnie jej zdjęcie (w roli uciśnionej piękności, uwolnionej przez bohaterskiego policjanta spod władzy bestialskiego szefa gangu) zamieszczamy tutaj zamiast fotografii wieloryba z „Powrotu na Ziemię”.

Pierwodruk: „Kamena”, 1988, nr 17, s. 16